http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Bibl. I. J. Michalskich ... ze zbiorów ...

Przegląd warszawski 1922, styczeń.

EPOKA FREDRY I JEJ WIZERUNEK W KOMEDJI.

(1815—1848).

Życie Fredry, jego twórczość literacka i działalność obywatelska łączy się ściśle z życiem tej części dawnej Polski, która ochrzczona świeżą, przewrotnie ukutą nazwą Galicji i Lodomerji, dostała się pod panowanie austrjackie. W tej dzielnicy, wyjąwszy okres służby wojskowej, przeżył poeta swe dzieciństwo i młodość, wiek dojrzały i starość. Tutaj pracował jako ziemianin, tutaj rozwijał twórczość literacką i pełnił służbę obywatelską. Z życiem tutejszego społeczeństwa polskiego wiąże się z małemi wyjątkami prawie cała jego twórczość komedjopisarska. Rozważenie więc, choćby najbardziej pobieżne i powierzchowne, warunków i cech ówczesnego życia jest nieobojętne z tego względu, że pozwala nam nie tylko lepiej zrozumieć i ocenić zasadniczą fizjonomję i kierunek jego komedji, ale także przez to że, wystawiając ciężkie warunki komedjopisarskiej twórczości, odsłania nam równocześnie przyczynę, dlaczego Fredro pewnych objawów i spraw życia w dziele swem nie poruszał lub poruszać nie mógł.

I.

RZĄD I WŁADZE.

Rzut oka na dzieje polityczne. — Sejm stanowy i arcyurzędy. — System rządzenia. — Skarbowość. — Szkolnictwo. — Sprawiedliwość. — Życie finansowe i waluta. — Stosunki poddańcze. — Działalność gospodarcza.

W myśl postanowień kongresu wiedeńskiego mieli Polacy otrzymać we wszystkich trzech zaborach pewne instytucje samorządne, poszanowanie języka i praw narodowych. O ile Prusy i Rosja starały się niektóre z tych przyrzeczeń wprowadzić w życie lub stwarzały przynajmniej pozór, że czynią ustępstwa na rzecz narodowych uprawnień polskich, to Austrja nie zadawała sobie nawet tego trudu. Tutaj wszystko zostało po dawnemu. Zachował się w całej pełni system rządów despotyczny, centralistyczny i germanizatorski.

W pierwszych latach po kongresie, w czasie rządów gubernatorskich Hauera i Taafego ucisk polityczny nie przybrał jeszcze form jaskrawych.

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN
7402
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63
http://rcin.org.pl

Reakcyjny system Metternicha zdąża wprawdzie konsekwentnie do celu przy pomocy swego aparatu biurokratycznego, ale otwarcie agresywnie wobec społeczeństwa jeszcze nie występuje. Kiedy z powodu sprawy greckiej i polityki rosyjskiej na Bałkanie zaczął się rozluźniać dobry i serdeczny stosunek Austrji z Rosją, a jego miejsce zajął ton podejrzliwości i wzajemnego niedowierzania, starała się nawet Austrja ująć sobie Polaków, ażeby móc ich ewentualnie wygrywać przeciw Rosji.

Jakby upatrzoną dla tego celu była osoba Augusta ks. Lobkowicza, mianowanego gubernatorem w 1826 roku. Człowiek światły, osobiście bardzo prawy, jedyny w austrjackiej służbie „Czech", którego bez niechęci możemy wspominać, posiadał złudzenia o polskiem pochodzeniu swego rodu i lubił Polaków. Sprawował swój urząd z wielkopańską łaskawością a serca obywateli umiał sobie jednać formami zewnętrznemi, czy to zagajając po polsku zebrania sejmu stanowego, czy też przywdziewając kontusz na występy uroczyste. Wszystko to dowodziło zmiany nastroju sfer rządzących, ale nie systemu rządzenia, który mimo złudnych pozorów nie uległ zmianie. Bardzo często odrzucano w Wiedniu to, co Lobkowicz zalecił we Lwowie, a poddana mu biurokracja galicyjska zachowywała niezmienną niechęć do kraju i ludności miejscowej. Wielu jednak Polaków, ujętych osobistemi zaletami księcia-gubernatora, łudziło się oczekiwaniem korzystnej zmiany w polityce Austrji względem narodu polskiego. Te złudzenia miał bezwątpienia na myśli Fredro, kiedy w *Panu Jowialskim* (a. II. sc. 12) wystawił Jowialskiego, popadającego w stan odurzenia i zachwytu na dźwięk kilku oklepanek, wyrzeczonych w sposób namaszczony przez „Najjaśniejszego Sułtana", a przypominających pisma odręczne cesarskie do stanów galicyjskich.

Złudzenia te jednak nie miały trwać długo. Przegrana 1831 roku sprowadza rychłą zmianę w odnoszeniu się Austrji do Polaków. W r. 1832 został ks. Lobkowicz odwołany, a jego miejsce zajął arcyksiążę Ferdynand d'Este, były wódz naczelny w wojnie austrjackiej przeciw Księstwu Warszawskiemu. Pomimo niemiłych wspomnień po orężu polskim z 1809 roku arcyksiążę nie okazywał nienawiści do żywiołu polskiego, ale też na kierunek rządów wpływał bardzo mało. Był jedynie gubernatorem figurantem. Właściwe rządy kraju spoczywały w rękach jego zastępcy, człowieka dokuczliwego a złośliwego i zaciętego wroga Polaków, barona Kriega. „Prawdziwy biurokrata-dorobkiewicz; jego żona była córką dawnego krawca lwowskiego, Niemca. Oboje byli Polakom bardzo nienawistni, ale tę niechęć pokrywali wielką grzecznością" — charakteryzuje go człowiek tak umiarkowany w sądach jak Leon ks. Sapieha [1].

[1] *Wspomnienia* — wydał Br. Pawłowski. Lwów-Warszawa-Poznań 1913, str. 189.

http://rcin.org.pl

W okresie rządów Kriega polityka austrjacka w Galicji przechodzi od dawnej maskowanej nieżyczliwości na stanowisko otwarcie represyjne i wrogie. Do upozorowania zmiany, postanowionej uprzednio, posłużyła lekkomyślna wyprawa Zaliwskiego (marzec 1833). Odtąd staje się Galicja widownią obław, urządzanych na emigrantów. Najniewinniejszy objaw narodowych uczuć spotyka się z bezwzględną represją rządu; mnożą się oskarżenia o zbrodnię stanu; zostaje zamknięta jedyna instytucja narodowa, zakład im. Ossolińskich (1834); więzienia przepełniają się podejrzanymi o przestępstwa polityczne; kraj pokrywa się siecią tajnych towarzystw i sprzysiężeń.

Mimo zmienne niejednokrotnie pozory polityka austrjacka w całej omawianej epoce hołduje zasadzie, przyjętej względem narodu polskiego jeszcze z końcem XVIII wieku: „Prawdziwy interes austrjackiej monarchji polega na tem, aby naród ten powoli w ludność niemiecką przekształcić, jego obyczaje, sposób myślenia, uprzedzenia zmienić, jednem słowem, aby go w y n a r o d o w i ć“ [1]. Ten cel, postawiony przez biurokrację niemiecką, niestety nigdy, nawet w przybliżeniu nie miał się urzeczywistnić. Stawiąc go sobie, dowodziły austrjackie koła rządzące jedynie zbyt wygórowanych mniemań o własnych siłach i zdolnościach. W istocie bowiem były (jak wszystkie biurokracje na świecie) zbyt ociężałe i leniwe, by mogły go przeprowadzić i wcielić w życie. Zajmując jednak względem tutejszego społeczeństwa stanowisko nieprzejednanie wrogie, umiały mu stale szkodzić i zadały mu w rezultacie straty poważne, zarówno w dziedzinie materjalnej jak i moralno-umysłowej.

Jedynym aktem rządu, którym starano się maskować spełnienie obietnic kongresowych, było przywrócenie do życia w r. 1817 sejmu stanowego, owej parodji przedstawicielstwa narodowego, wylęgłej jeszcze w pomysłowej głowie Józefa II. Składał się ten „sejm“ z przedstawicieli czterech stanów: magnatów, szlachty, duchowieństwa i miast królewskich t. zn. samego tylko Lwowa, który miał dwu posłów, ale głos tylko jeden. Dla społeczeństwa polskiego, w którem tradycje parlamentarne były jeszcze żywe, musiał się ten sejm wydać tworem jedynym pod słońcem, albowiem ani nie uchwalał ustaw, ani nie rozpatrywał projektów prawodawczych, ani nie uchwalał budżetu, ani nie kontrolował rządu. Cała jego czynność polegała na wysłuchiwaniu rozporządzeń cesarskich (postulatów) i na podawaniu do tronu próśb najuniżeńszych, których w zasadzie nigdy nie wysłuchiwano.

Nicość zebrań stanowych starano się przystroić w ceremonjał jak najokazalszy. Członkowie i dostojnicy tego ciała olśniewali gawiedź pa-

[1] Postanowienia komisji nadwornej z 1791 r. — Wł. Łoziński: *Galiciana*, str. 66.

http://rcin.org.pl

radnemi, suto złotem naszywanemi frakami. „Tak zwani komisarze sejmowi, przez cesarza mianowani, przyjeżdżali w staroświeckich pozłacanych karetach w sześć koni, z masztelarzami na koniach. Jechali n i b y wprost od cesarza i donosili zebranym, że Najjaśniejszy Pan — zdrów. Miewali mowy gubernator i arcybiskup. Na drugi dzień n i b y się naradzono nad potrzebami kraju. Po kilkugodzinnej pogadance, podawszy prośbę o zniżenie podatków, czego się naturalnie nigdy nie otrzymało, zjadłszy obiad u arcybiskupa i gubernatora, sejm się rozjeżdżał" [1]. Tego rodzaju naiwna zabawa w sejmowanie musiała wywoływać drwiny u krytycznie myślącej części społeczeństwa polskiego.

> Te Stany śmiechu godne, które nic nie znaczą,
> Grają komedję w mieście, gdy wieśniacy płaczą

śpiewa o nich ulotna satyra współczesna [2].

Ażeby dopełnić obrazu tej maskarady przedstawicielskiej, rząd nie poprzestał na hojnem rozdawnictwie tytułów arystokratycznych, ale potworzył jeszcze rozmaite godności i dostojnictwa, które nosiły tem szumniejsze nazwy a błyskotliwsze mundury, im niklejszą była ich treść i znaczenie faktyczne. Tak więc znakomici Galileusze, jedni przez próżność, drudzy przez zrozumiałą powolność chadzali w blaskach łaski monarszej postrojeni w tytuły Wielkich Marszałków Koronnych, Wielkich Ochmistrzów, Łowczych, Kuchmistrzów i tym podobnych specjałów „koronnych". Jak na tę całą przez rząd inscenizowaną bufonadę zapatrywał się Fredro, o tem świadczy scena 2 w II akcie *Pana Jowialskiego,* która dla przedstawienia tego zjawiska znalazła wyraz najwłaściwszy, t. j. formę maskarady, odgrywanej przez rozmaitych dostojników „koronnych".

LUDMIR. Cóż wy wszyscy jesteście?
P. JOWIALSKI. Twój dwór.
LUDMIR. Któż ty jesteś?
P. JOWIALSKI. Wielki Kanclerz Koronny.
LUDMIR. Kanclerz? Cóż to jest?
P. JOWIALSKI. Jest to Effendi od pieczęci i stróż praw krajowych.
LUDMIR. Czy prawami w piecu palisz, że się stróżem zowiesz?
. . . .
A pieczęcią co pieczętujesz?
P. JOWIALSKI. Rozkazy twoje.
LUDMIR. Chcę, abyś wszystkim głowy popieczętował.
P. JOWIALSKI. A to na co?

---

[1] L. Sapieha: *Wspomnienia,* str. 192.

[2] Przytoczona u St. Schnürr-Pepłowskiego: *Obrazy z przeszłości Galicji* i t. d., I. 34.

http://rcin.org.pl

LUDMIR. Aby wszystkie głowy były pod jedną cechą, moją własną; bez cechy pańskiej ścinać się będą. *(Do Janusza)* A ty?

JANUSZ. Jestem Wielki Ochmistrz?

LUDMIR. Co to „Och!“ i „Mistrz“? — Dlaczego „och!“? Czy dlatego, że ty „mistrzem“?[1]

P. JOWIALSKI. Jest to urząd, Najjaśniejszy Panie.

LUDMIR. Cóż on robi?

P. JOWIALSKI. Strzeże, aby wszystko u Dworu działo się przyzwoicie.

LUDMIR. I ty to potrafisz?

JANUSZ. Tak jest.

LUDMIR. To jesteś wielki człowiek!

. . . .

(Do Szambelana) A ty, co się śmiejesz, a nic nie gadasz, masz także dwa rzemiosła?

SZAMBELAN. Jestem Wielki Kuchmistrz Koronny i Effendi Wojny.

LUDMIR. A! Do kuchni i do wojny — do siekaninki więc, do siekaninki!.. Ale słuchajcie, gdzież jest Rozumnik Koronny?

P. JOWIALSKI. Tego urzędu niema.

. . . .

Znamiennym rysem ówczesnego systemu rządzenia jest to, że przy całej swej biurokratycznej ociężałości był on równocześnie wszędobylski i wszechwścibski. Wszędzie starał się wtrącić swoje trzy grosze, na wszystkiem położyć swą rękę, wszystko poddać swej kontroli i uzależnić od siebie, a jednak niczego, nawet tam, gdzie szkodzić nie zamierzał, rozwinąć, udoskonalić lub poprawić nie umiał — wszystko natomiast popsuł, obniżył lub powstrzymał w rozwoju na całe lat szeregi. Od Rzeczypospolitej oderwał jej część najbogatszą, najludniejszą i dobrze zagospodarowaną, wyposażoną w liczne bogactwa naturalne, posiadającą względnie liczne gałęzie rękodzieła i przemysłu, prowadzącą ożywiony handel z krajami ościennemi. Po kilku dziesiątkach lat austrjackiego panowania przemysł zanika w zupełności; dawne huty i kuźnice przechodzą w sferę imion geograficznych, przestają pracować kołowrotki i krosna. Obrót handlowy w dużym stylu zamienia się w małomiasteczkowe, żydowskie kramarstwo, przekupnictwo i domokrąstwo; upadają rzemiosła, wysychają rybne niegdyś jeziora i stawy, pustoszeje i dziczeje rola. Kraj, który nadmiarem swego zboża żywił niegdyś inne części Polski lub dalekie obce kraje, upada około 1830 r. tak nisko pod względem gospodarczym, że nie jest w stanie zapobiec ustawicznym epidemjom głodowym.

Rząd, doprowadziwszy do ruiny lub zmarnotrawiwszy bezmyślnie własne swe majątki (dawne królewszczyzny), z tem większą bezwzględnością

[1] Jest to dwuznacznik; wyraz *mistrz* oznaczał także *kata*.

http://rcin.org.pl

i chciwością zaczął wysysać prywatny majątek swych obywateli, stosując najbardziej wyszukane formy skarbowego i podatkowego wyzysku. Od pierwszego rozbioru po r. 1840 suma opłacanych podatków wzrosła czternastokrotnie w kraju gospodarczo zrujnowanym i wyssanym, w kraju, któremu jedne źródła wytwórczości zabrano (monopole) a inne zabito, krępując przedsiębiorczość prywatną całym szeregiem przepisów drobiazgowych i złośliwych. W tę drapieżność skarbową rządu wymierzony jest pocisk satyryczny, zawarty w cytowanej już scenie *Pana Jowialskiego:*

LUDMIR. Czemże jeszcze jesteś?
JANUSZ. Jeszcze? (*Po krótkiem milczeniu*) Jestem Effendi finansów.
LUDMIR. Finansów? Ha! To ty oderznąłeś mój tłumoczek! — Zdaleka ode mnie, bo jeszcze mam parę srebrników w kieszeni.

W zamian za ruinę gospodarczą społeczeństwo nie otrzymywało niczego. Dostęp do władz i urzędów był dla krajowców utrudniony lub wręcz zamknięty. Szkół, odpowiadających potrzebom społeczeństwa i kształcących w języku ojczystym, nie było zupełnie. Wegetowały jeszcze gdzieniegdzie przeżytki dawnych szkół klasztornych, posiadały jednak poziom równie niski jak nieliczne szkoły rządowe niemieckie, których planu obowiązane były przestrzegać. Każdą próbę wzorowania się na szkolnictwie polskiem, stojącem bez porównania wyżej na ziemiach wschodnich i w Królestwie, tłumiono w zarodku[1]. Stosunki tutejsze łącznie z zakordonowemi objawami reakcji na polu szkolnictwa miał na myśli Fredro, kiedy umieszczał w fikcyjnym Osieku dialog następujący:

URSZULA. Będąc dozorcą nauk, które mają obejmować w sobie razem sztukę czytania i sztukę pisania, jesteście przez to samo naczelnikiem... naczelnikiem...

---

[1] W r. 1818 starał się A. T. Chłędowski umieścić w listopadowym numerze *Pamiętnika lwowskiego* następującą krótką i niewinną notatkę, dającą obraz przenikania idei filomackiej na grunt tutejszy:

„Literackie towarzystwa młodzieży polskiej. We wszystkich uniwersytetach i znaczniejszych szkołach krajów polskich potworzyła młodzież towarzystwa prywatne; nie miesza się w nie żaden fanatyzm polityczny, tak jak w związki młodzieży niemieckiej, potworzone w ich uniwersytetach pod nazwiskiem *Landsmannschaften und Burschenschaften.* Pięknym ich celem jest wzajemne oświecanie się, udzielanie sobie swoich postrzeżeń, ćwiczenie się w stylu i w rozmaitych gałęziach nauk i umiejętności. Redakcja podając publiczności tę wiadomość, załącza życzenia swoje, aby tém (!) towarzystwom przewodniczyła gruntowność a towarzyszyło wytrwanie i szczera chęć nie wyboczenia nigdy od chwalebnego celu „wznieść oświatę w ojczyźnie z pożytkiem i sławą dla kraju".

Ogłoszenia tej notatki zabronił cenzor Winiwarter, kładąc sakramentalne *Non admittitur.* (Teka redakcyjna *Pamiętnika lwowskiego* — Bibl. uniw. we Lwowie, Rkp. nr 670).

http://rcin.org.pl

GRZEGOTKA. ...oświecenia.

. . . .

AGATA. Rozumiem; do mnie więc będzie należeć mieć oko na pojętniejsze głowy; i jeżeliby się która wyszczególniała, przedstawić, zalecić.

URSZULA. Nic, nic z tego. Żadnego protegowania rozumu, żadnej pomocy rozwijającemu się talentowi — to nie wasz urząd, to do was nie należy. Niech czytają, piszą i dosyć — a oświecenie zgromadzaj Waszeć na siebie.

(*Gwałtu co się dzieje* I, 8).

Wymiar sprawiedliwości był niezwykle skomplikowany i drogi, procedura staroświecka, umożliwiająca prowadzenie procesów przez lat dziesiątki. Sądy, choć obsadzane prawie wyłącznie przez Niemców, oddano pod kuratelę administracji, która nie tylko miała głos decydujący w sprawach politycznych, ale chwyciła w swe szpony cały szereg spraw cywilnych. Tę jurysdykcję organów politycznych miał na myśli Fredro, kiedy przedstawiał „babskie" sądy w Osieku.

URSZULA. Widzicie sąsiadki, bałyście się sądów, otóż nie tak rzecz trudna jak się zdawała.

BARBARA. W samej rzeczy, nigdym się nie spodziewała, abym mogła tak prędko nauczyć się sądownictwa.

AGATA. Co nam się sądem turbować — niech się winowajca turbuje.

GRZEGOTKA. Rozsądna uwaga! (*Gwałtu co się dzieje* I, 8).

Wyrazem nieudolności ekonomicznej i gospodarki rabunkowej była waluta, wiecznie nieuregulowana i wiecznie licha. Stosunek pieniądza papierowego do monety brzęczącej pozostawał w stanie ciągłej chwiejności, a w każdej niemal miejscowości przedstawiał się inaczej, choć urzędowo liczył się papier (waluta konwencyjna) do metalu (waluta wiedeńska) w stosunku jak 2½ do 1. To nam tłumaczy owo miejsce z *Dożywocia*, w którem Orgon nie chce dać za pokój hotelowy reńskiego, ale potargowawszy się, płaci dwa reńskie (lecz w papierze) i cieszy się jeszcze, że mu „w kieszeni coś zostanie":

ORGON. A na dobę ile za nie?
SŁUŻĄCY. Reński.
ORGON. Srebrem?
SŁUŻĄCY. Srebrem panie.
ORGON. Srebrem reński, djable drogo.
SŁUŻĄCY. Ale taniej być nie mogą.
ORGON. Ale jednak taniej wszędzie —
Pół reńskiego niechże będzie.
RÓZIA. Niech się Papa nie targuje.

http://rcin.org.pl

ORGON. Co za ambit, proszę kogo!
Jemu nie wstyd, gdy rachuje
Za grosz cztery, a nas wstydzi
I okazać, że za drogo.
On też zdziera, jeszcze szydzi.
(*do służącego*):
No dwa reńskie papierami,
Albo jadę — co? (*Dożywocie* II, 1).

Kredytu publicznego (towarzystw kredytowych ziemskich, kas oszczędności i t. p.) nie było, a na organizację tego rodzaju instytucyj rząd nie zezwalał. Gotówki w kraju zbiedzonym i wyssanym było zawsze mało. Znajdowała się ona w ręku prywatnych kapitalistów, którzy przy dobrej rękojmi wypożyczali na 2 do 5 % miesięcznie, t. j. na 25 do 60 % rocznie. Lichwiarze i spekulanci walutowi, t. zw. wekslarze[1], stanowili więc nie tylko w komedji, ale i w życiu ówczesnem typ powszedni i czynnik nieodłączny ówczesnego finansowego życia. We Lwowie żerowali oni przy ul. Boimów, na placu, który do dziś zowie się Wekslarskim, choć „czarna giełda" opuściła go już dawno. Z chwilą przyjazdu Orgona do hotelu spada nań odrazu ta węsząca za żerem szarańcza:

ŻYD. Jestem faktor.
ORGON. Niepotrzeba.
DRUGI ŻYD. Może wekslarz?
ORGON. Niepotrzeba!
SŁUŻĄCY DRUGI. Mam czem służyć?
ORGON. Niepotrzeba!
I raz jeszcze niepotrzeba!
A źle! gwałtu! Kara nieba! (*wychodzą*). (*Dożywocie* II, 1).

W życie społeczne, a zwłaszcza w stosunki poddańcze wprowadzono chaos i zamieszanie trudne do określenia. Normowano je ciągle od chwili pierwszego rozbioru nieustannemi a sprzecznemi rozporządzeniami i okólnikami, nie ustalono ich jednak nigdy aż do czasu zniesienia pańszczyzny. Wiecznie nie uregulowaną pozostała również sprawa rozdziału gruntów chłopskich (rustykalnych) od pańskich (dominikalnych), co dawało powód do nieustannych sporów, zażaleń i pretensyj. Próbkę tego stanu rzeczy mamy w *Cudzoziemczyźnie*, gdzie Radost narzeka, że mu rządca cudzoziemiec

Ulice powycinał i w gwiazdy i w koła,
A gromada przed drzwiami o swe grunta woła.
(*Cudzoziemczyzna* III, 7).

W załatwianiu spraw społecznych cały spryt biurokracji polegał na tem, aby zwalić na dwór egzekutywę obowiązków przykrych lub bolesnych

[1] Nazwa nie pochodzi od weksla, ale z niem. *wechseln* = mieniać pieniądze.

http://rcin.org.pl

dla gromady (pobór rekruta, ściąganie podatków, szarwarki i t. p.), sobie natomiast przypisać zasługę dobrodziejstw i dogodności, świadczonych przez dziedzica. „Wszystko, co tylko drażliwego, dotkliwego ma w sobie władza wykonawcza administracji, wszystko to dziedzic naprzeciw gromady połączał w swą osobę a dobrodziejstwa, które z dawien dawna wypływały z jego woli i opieki, przeszły w obowiązujące go prawo, nie wzniecały już wdzięczności, ale otwierały pole do nieograniczonych żądań i nieukontentowania. Biurokracja zajmowała stanowisko protekcjolnane a szlachta stała naprzód wysunięta, jak iglice, ściągające pioruny“ [1].

Rząd nie zadowalał się tem, że sam nic nie robił, ale tamował lub wręcz dusił wszelką inicjatywę, pochodzącą od społeczeństwa, choćby się ona objawiała nawet w dziedzinie tak niewinnej jak gospodarcza. Niejednokrotnie całe lata starań i zabiegów trzeba było poświęcić na to, by w końcu się dowiedzieć, że na założenie jakiejś fabryki czy towarzystwa akcyjnego rząd nie pozwala, lub pozwala pod warunkami, nie dającemi się wypełnić. Starania o założenie Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w których i Fredro brał udział, trwały około lat ośmnastu. Równie trudno postępowała sprawa budowy kolei żelaznej, założenia kasy oszczędności lub stworzenia towarzystwa gospodarczego, któremu, już po zatwierdzeniu statutów, uniemożliwiano czynności przez szykany formalistyczne.

Ten stan rzeczy, który wykluczał z życia jednostki nietylko możliwość pracy publicznej, ale krępował w wysokim stopniu lub udaremniał jej zapobiegliwość i działalność osobistą, musiał oddziaływać fatalnie na psychikę społeczeństwa tutejszego, na poziom jego cywilizacji, na jego stan umysłowy i moralny.

II.

SPOŁECZEŃSTWO.

Biurokracja, jej pochodzenie i charakterystyka; poślad biurokratyczny. — Arystokracja; jej składniki, proweniencja, warunki bytu, uczucia narodowe, poziom umysłowy i moralny. Jednostki wybitniejsze. Stosunek Fredry do jego sfery. — Szlachta, jej położenie materjalne i sposób życia. Urządzenie domu. Poziom umysłowy. Znaczenie kulturalne i narodowe. — Duchowieństwo. — Mieszczaństwo. — Nieobecność warstw najniższych z komedji Fredry.

W przeglądzie społeczeństwa galicyjskiego owej doby miejsce pierwsze nie z wieku, ale „z urzędu“ przynależy biurokracji. Albowiem ta warstwa nieliczna, cudzoziemska, obca krajowi mową, obyczajem i pojęciami, nie znająca tutejszych stosunków i potrzeb, była czynnikiem, rozstrzygającym o najkonieczniejszych i nieodzownych sprawach życia. Rekrutująca się z najrozmaitszych narodowości i warstw społecznych, werbowana w roz-

[1] Al. Fredro: *Uwagi nad stanem socjalnym Galicji.* — Ogłoszone w książce St. Schnürr-Pepłowskiego: *Z papierów po Fredze,* 75—76.

http://rcin.org.pl

maitych krajach rozległej monarchji habsburskiej, była zbieraniną w całem tego słowa znaczeniu. Ale zbieranina ta, pociągnięta jednolitym pokostem niemczyzny i obyczajowości wiedeńskiej, zaprawiona przez lata praktyki do dyscypliny w służbie, a serwilizmu i czołobitności poza służbą, spojona silnym węzłem zawodowych widoków i korzyści, występowała wobec społeczeństwa jako kasta jednolita, zwarta i wroga. „Kto nie żył w czasach przed 1848, trudno, aby miał wyobrażenie o duchu, jaki panował między urzędnikami. Nienawiść do Polaków, a szczególnie do szlachty, była przez nich uważana za obowiązek" — powiada L. Sapieha.

Rekrutując się z warstw niezamożnych lub majątkowo podupadłych, zmuszona wyobrażeniami swej kasty do wyższej stopy życiowej *(Standesmässigkeit)* a źle płatna, patrzyła z zawiścią na ludzi majętniejszych a zależnych od siebie. Z niesłychaną bezwzględnością umiała dać odczuć „stronom" cały ciężar swej szerokiej władzy.

Każda, jakabądź władza przywilej posiada,
Że czy szczęściem, czy smutkiem swych niższych nabawia,
Nigdy się i z niczego przed nimi nie sprawia —
(*Zrzędność i przekora* sc. 7)

mówi, z pewnością nie bez myśli o tych stosunkach, poeta. Szykanami i dokuczliwością starała się nie tylko wymusić posłuch dla siebie, ale także — uzupełniać swoje szczupłe dochody. „Urzędnik tak cywilny jak i wojskowy z żydowskich tylko rąk chce przyjmować kubany a kubanów chciwy" *(Trzy po trzy).*

Przedajność i złośliwość w urzędowaniu, a pretensjonalna śmieszność w życiu prywatnem to rysy jej zasadnicze. Z niemi przeszła do pamięci potomnych i do literatury późniejszej, bo literatura współeczna, a z nią i komedja Fredry, zbyt silnie miała zakneblowane usta, ażeby mogła je unieśmiertelnić. Choć nieobecny osobiście w komedji fredrowskiej, żywioł ten istnieje jednak — za drzwiami jego sztuki. Istnieje i podsłuchuje, a że słuch miał stępiony, dostał mu się w *Gwałtu co się dzieje* lub w *Panu Jowialskim* niejeden komplement.

Gdy mowa o biurokracji, niepodobna pominąć milczeniem tego jej surogatu, który wyrastał z rodzimego podłoża dzięki swoistym warunkom ówczesnego życia. Rozmaite jednostki o przeszłości zagadkowej, niedouki, napędzeni oficjaliści lub wojskowi, wszelkiego rodzaju egzystencje wykolejone — słowem cały półinteligentny proletarjat, posiadłszy jaką taką znajomość języka niemieckiego, liznąwszy coś z paragrafów i cyrkularzy, opanowawszy umiejętność obojga abecadła i kaligraficznego pisma, stanowił jakby wtórne odgałęzienie wielkiej biurokratycznej rodziny. Z tych szeregów rekrutowała się zgraja pokątnych pisarzy, starościńskich agentów

http://rcin.org.pl

(w czasach rzezi 1846 r.), konfidentów władz, szpiclów, pisarczyków po rozmaitych rządowych biurach, po magistratach i kancelarjach dominikalnych. Późniejsza komedja Fredry przekazała nam jedną z takich figur, skreśloną piórem prawdziwie szekspirowskiem. Ów, na glebie rodzinnej wyrosły kwiatuszek, nosi w *Wychowance* czarujące miano — Narcyza.

*

Na czoło miejscowego polskiego społeczeństwa wysuwała się nietyle zasługą, co znaczeniem majątkowem, wzbogaconem łaską i przywilejami rządu, arystokracja. Galicyjska arystokracja owych czasów jest społecznością dość dziwną i wyjątkową. Zastęp jej składają w części zaledwie potomkowie dawnych rodów historycznych, trzymający się naogół zdaleka i z pewną rezerwą. Większość najgłośniejszą i nadającą ton życia tej warstwy stanowią *homines novi*, o nazwiskach wprawdzie nie „z kalendarza", ale jednak tylko „z herbarza" (choć były i „z kalendarza"). Długi okres przejściowy od pierwszego rozbioru do Kongresu (1772—1815), ciągła zmiana stosunków i konstelacyj politycznych, związana z tem chwiejność wartości majątkowej, katastrofy majątkowe jednych rodzin, konieczność przesiedlania się za kordon drugich, kłopoty wreszcie finansowe austrjackiego rządu, wyzbywającego się nieraz za bezcen dawnych królewszczyzn — wszystko to razem wzięte stwarzało warunki dogodne dla łatwego wzbogacenia się jednostek obrotnych, którym owa doba przejściowa dozwoliła wypłynąć i porość w pierze.

Oprócz tych dwu składników rodzimych obejmowała ta sfera jeszcze element trzeci: napływowy i cudzoziemski. Byli to, utuczeni na polskim chlebie biurokraci i wojskowi, jakoteż „spanoszeni przybysze", Niemcy. Żywioł ten w czasach późniejszych wyemigrował lub też spolszczył się bez śladu, dając ojczyźnie w następnych pokoleniach nieraz bardzo tęgich obywateli. O stosunkach, panujących za czasów Fredry, warto jednak pamiętać, choćby ze względu na genezę *Pana Geldhaba*. Albowiem ta właśnie grupa społeczna nastręczyła Fredrze typ komiczny, który z powodów cenzurowych został przystosowany i przeniesiony do czasów Księstwa Warszawskiego.

W przeważającej większości była ówczesna arystokracja galicyjska tworem nowym, nie posiadającym oparcia ani o tradycję ani też o wyobrażenia społeczeństwa. Mandat jej społecznego pierwszeństwa nosił, podobnie jak i jej tytuły, piętno obce, wypływał z łaski obcego, zaborczego rządu. Sama zaś nie błyszczała ani rozumem ani wielkiemi cnotami, by mogła zdobyć dla swego pierwszeństwa sankcję moralną w społeczeństwie.

http://rcin.org.pl

Brak jej było zarówno wysokiej kultury starej arystokracji francuskiej jak i szerokich aspiracyj i ambicyj obywatelskich dawnego polskiego możnowładztwa. Oderwana od ściślejszego związku z zachodem, nawet w zakresie i formach zewnętrznego błyszczenia była zaledwie odbiciem wiedeńskiego szyku. Z gorliwością prawdziwych parwenjuszy usuwała niejednokrotnie dawne zabytki lub zacierała ślady artystycznych upodobań przodków, byle tylko uczynić zadość modzie [1]. Pod względem materjalnym miała warunki istnienia doskonałe; osłoniona przed pożądliwością biurokracji godnością dworską, tytułem czy własną pozycją towarzyską, miała zapewnioną „tanią administrację“, nie znała konieczności wiecznego opłacania się zgrai podrzędnych urzędników, którzy zatruwali życie innym warstwom ludności, a zwłaszcza szlachcie.

Względy sfer rządzących musiała jednak okupywać stosunkami i zabiegami, które nie przynosiły jej zaszczytu ani też nie podnosiły jej godności w oczach społeczeństwa. W jednym z listów [2], pisanych z Wiednia w 1844 roku, w ten sposób określa Fredro uczucia narodowe tej warstwy: „Mamy tu dużo zowiących się i mówiących po polsku, a między nimi kilku Polaków. Na tem kończę, b y z a n a d t o n i e p i s a ć.“ Jej obojętnością narodową, jej poniżającem nadskakiwaniem sferom rządowym jest oburzony nawet taki panegirysta jak Ludwik Dębicki [3].

O uczuciach narodowych tej sfery, o jej odnoszeni się do poety i jego rodziny w czasie niezbyt odległym od omawianej epoki, bo w r. 1850 czy 1851, może dać wyobrażenie miejsce następujące ze *Wspomnień* córki poety: [4]

„Z jesienią przenieśliśmy się do Lwowa; stosunki zastaliśmy nielepsze, jak na wiosnę — bano się może kompromitować w o b e c c o r a z b a r d z i e j m i ł o w a n y c h N i e m c ó w z rodziną banity [5], dość, że jak ja odczuwałam

[1] „Wczoraj spadły na mnie z wysoka promień łaski, wzniósł mnie do progów dostojnych a oczy moje olsnęły, patrząc zbliska na jasność. Prozą mówiąc, byłem na balu u księżny X... Prawiła mi o pokrewieństwie swojej familji z Sobieskimi, i o szczególnem przeznaczeniu,przez które ich dom i dobra stołowe królewskie w jej ręce się dostały, z których już nie wyjdą. Nie wiem, co się dzieje ze stołowemi dobrami, ale domu szczerze mi żal, że się dostał w złe ręce. Już i schody, owe schody najpiękniejsze we Lwowie, których jej zazdrościłem i które z upodobania często chodziłem widzieć, straciły swoją piękność przez jedno pobielenie i pomalowanie ścian. Urok starożytności zniknął, a sztukaterja i popiersia, zamazane wapnem i farbą, obok ścieśnionego wjazdu i pokoików, porobionych z otwartej galerji, bardzo przypominają porządnie utrzymaną karczmę“ — Z listów T. Wasilewskiego (21. II. 1840). Rkp. Ossolineum, kodeks nr. 4.363.

[2] Do T. Wasilewskiego z 17. XII. 1844. — Kodeks Ossolineum nr. 3.230

[3] *Z dawnych wspomnień* (1846—1848). Kraków 1903, 81, 92.

[4] Autograf cz. IV. str. 22.

[5] Al. Fredro naraził sobie rząd i koła „dobrze myślące“ przez swoje śmiałe i godne wystąpienie na kwietniowem 1848 zebraniu notablów u gubernatora hr. Stadiona (Zob. o tem u Br. Łozińskiego: *Szkice z historji Galicji XIX w.* str. 69—71), syn zaś Jan Aleksander przebywał na wygnaniu za udział w rewolucji węgierskiej.

http://rcin.org.pl

docinki wcale nie politycznej natury — tak było coś, co i Rodzicom dokuczało, bo było w domu smutniej prawie niż podczas wojny węgierskiej."

Niesłodkie to musiały być stosunki i odnoszenia towarzyskie, skoro tak żywo i przykro odczuła je czternastoletnia panienka już z samego zachowania się swoich rówieśniczek.

Jest rzeczą zrozumiałą, że warstwa zamożna, mająca tak ułatwione warunki bytu, a odsunięta zupełnie od życia publicznego, dzięki zaś wykształceniu prymitywnemu pozbawiona wszelkich aspiracji duchowych, musiała wieść życie próżniacze, puste i godne pożałowania, a obyczajowo wręcz gorszące. Wystarczy wziąć do ręki pamiętnik któregokolwiek z ludzi ówczesnych (dziennik Ksaw. Preka n. p.), by zobaczyć, jak życie tej sfery oscylowało beznadziejnie pomiędzy amatorskiem przedstawieniem, żywym obrazem, balem, wizytą, przyjęciem, imieninami i znowuż przedstawieniem, balem — i tak w kółko. Beznadziejna, błyszcząca nędza ducha. Świat Elwiry, Wacława i Alfreda, ziewających we troje, świat Astolfów i Radostów, zachwyconych nowomodnym zaprzęgiem czy pogrążonych w kontemplacji nowych guzików u fraka, świat Jowialskich, olśnionych własnemi konceptami czy oczarowanych *pointe'ą* po raz setny powtórzonej anegdoty, świat Antenackich i Szambelanów o ptasich móżdżkach.

Środowisko tak bezmyślne i bezduszne, nie ożywione żadnym ideałem lub wyższym celem życia, przedstawiało nie tylko pole jałowe dla rozwoju indywidualności ale oddziaływało paraliżująco na charaktery wybitne i nieprzeciętne. Brak zrozumienia, brak odczucia intencyj przez otoczenie — oto zwykła dola wszystkich wybitniejszych a często niepospolitych ludzi, którym los zawistny kazał na tych wysokościach się urodzić. Na naukowe umiłowania Batowskiego, Al. Stadnickiego, czy Działyńskiego, patrzano z pobłażaniem lub lekceważeniem, jak na pański kaprys. W śmiałych, iście amerykańskich przedsięwzięciach gospodarczych i finansowych St. hr. Skarbka, tej dziwnej, jakby z balzakowskiej powieści wyjętej postaci o niezmożonej energji i żądzy działania, o niesłychanej pomysłowości ekonomicznej, nie chciano widzieć nic więcej tylko... „głód złota". Zacny Tadeusz Wasilewski za swe starania reformy włościańskiej stawał się w wyobrażeniach tych ludzi „jakóbinem, służką rządowym, wszystkiem co chcesz, a wszystkiem przeciwnem naraz". Do projektów ekonomicznych Leona Sapiehy, do jego szerokiej inicjatywy gospodarczej, przejętej głęboką obywatelską myślą i chęcią podniesienia ekonomicznego kraju, odnoszono się nieufnie, podejrzliwie, upatrując w tem chęć własnego wzbogacenia się projektodawcy.

Nad charakterem tej sfery rozwodzimy się dłużej, bynajmniej nie dla pofolgowania niechęci, boć to rzecz przestarzała i niewczesna mówić źle o arystokracji dzisiaj, gdy tyle złego można już powiedzieć o demo-

http://rcin.org.pl

kracji. Chodzi o to, by określić dokładniej stosunek i stanowisko poety względem jego otoczenia. W życiu nowoczesnego człowieka otoczenie odgrywa rolę o wiele ważniejszą, niż się mu zazwyczaj przyznaje, zamyka bowiem w sobie część warunków życiowej doli jednostki. Nie wybieramy go sobie, ale przyjąć je musimy takiem, jakiem je zastajemy — jest ono nieuniknione i niezawinione przez nas a ciążące nad nami, jak owo *fatum* w wyobrażeniach ludzi starożytnych.

Tylko przez zestawienie z otoczeniem pojmuje się wyraźniej wartość tej indywidualności twórczej, jaką był Fredro, i dążność jego dzieła. On, który urodzeniem, pozycją towarzyską, stosunkami, przyzwyczajeniami i wymaganiami, słowem całą zewnętrzną stroną swego życia należał do tej warstwy — on, który w okresie lwowskich hulanek przeżywał tak szczerze jej życie i pełną piersią wdychał zatrute powietrze lwowskich salonów, ileż siły i odporności indywidualnej musiał posiadać, by nie dać się temu środowisku pochłonąć, by nie zacząć śpiewać jego piosenki, by nie kręcić się w zaklętem kole tego jaśniepańskiego filisterstwa.

Głęboka różnica, istniejąca między autorem a jego otoczeniem (dystansem autorskim ochrzcił to zjawisko niezbyt szczęśliwie Brzozowski) sprawia, iż obraz ówczesnej arystokracji zachował w dziele Fredry charakter konsekwentnie ujemny. Zacząwszy od ks. Rodosława z *Geldhaba,* a skończywszy na szambelanie Kawalerskim z *Ciotuni,* wszyscy przedstawiciele tej sfery są postaciami nie tylko komicznemi ale i ujemnemi. Jej oblicze moralne to *Mąż i żona,* sfera jej zainteresowań to *Cudzoziemczyzna* przed odrodzeniem się Radosta, wzloty jej ducha to *Pan Jowialski,* sprawność życiowa to zakulisowe machinacje w *Ciotuni.* Postacią, określającą niejako skalę autorskiego szacunku dla tej warstwy, staje się

> Ten baron Antenacki, hardy z swego rodu,
> Baron, co z ojca, dziada sługa obcych dworów,
> Powiększył w Polsce liczbę głupiośmiesznych wzorów.
>
> (*Przyjaciele* I, 7.)

*

Drugą warstwę społeczną tworzyła szlachta. Jeśli wyłączyć z niej nieznaczny zastęp ziemian prawdziwie zamożnych, którzy i społecznie i towarzysko liczyli się bez względu na swe utytułowanie do panów, to otrzymamy olbrzymią resztę, która stanowiła istotne jądro ówczesnej warstwy oświeconej narodu. Może wobec żadnej warstwy społecznej przyszła demokratyczna potomność nie okazała się tak niesprawiedliwą i bezwzględną w sądach jak właśnie względem szlachty galicyjskiej z pierwszej połowy XIX wieku.

http://rcin.org.pl

Stało się tak, bo w dobie późniejszej obejmowano tem mianem już zupełnie inną rzeczywistość społeczną. W istocie bowiem już na długo przed końcem XIX w. owa warstwa w swej postaci istotnej, w swym zasadniczym typie społecznym, obyczajowym i towarzyskim, przestała właściwie istnieć. Jej elementy, wytrzymalsze ekonomicznie, przetrwały wprawdzie ogniową próbę wielkiego gospodarczego przewrotu, ale też przyjęły później sposób życia i bycia arystokracji, spanoszały i zarystokratyzowały się tak całkowicie, że zupełnie słusznie zaczęto tutaj później utożsamiać dwie warstwy ongiś różne. Przeważna zaś większość dawnej szlachty, ekonomicznie zbyt słaba, ażeby mogła przetrwać kryzys pańszczyźniany, rozpłynęła się bez śladu w inteligencji miejskiej, w urzędach i zawodach wolnych lub w warstwie ludowej.

W epoce, o której mówimy, warstwa ta jednak istnieje jeszcze w całej pełni. Składa się ona z właścicieli ziemskich, siedzących na jednej lub dwu wioskach a czasem tylko na kilku włókach, choć byli tacy, którzy już i tego nie mieli. „Już bowiem wtedy — opowiada Lud. hr. Jabłonowski [1] szlachta upadać zaczynała. Ta, która na mniejszych panowała imionach (= majątkach) nie mogła przetrwać długiej przechodniej chwili.“ Ci chodzili dzierżawami lub pełnili w majątkach ziemian zamożniejszych obowiązki rządców, mandatarjuszy, oficjalistów i t. p.

Materjalnie nawet posesjonaci mieli się nieszczególnie. Gospodarka rolna przy zupełnym braku szkół rolniczych była zacofana, maszyny rolnicze jeszcze długo po 1831 r. uważano za wymysł nowomodny. System pracy, oparty o robociznę pańszczyźnianą, był pierwotny i przedstawiał idealne narzędzie marnotrawienia czasu. Produkcja rolna była więc bardzo słaba, a w latach klęski nie pokrywała zazwyczaj własnych potrzeb dziedzica i gromady. Konjuktura gospodarcza, normowana z rozmysłem dla kraju niekorzystnie, pogarszała jeszcze położenie, w którem zupełnie zrozumiałą staje się skarga Orgona z *Dożywocia:* „Wszystko drogo, tylko nasze zboże tanie“ (II, 7). W tego rodzaju warunkach gospodarczych nawet istota tak upośledzona jak Szambelan z *Pana Jowialskiego* umie powtórzyć powszechną wówczas a dla innych tak gorzką piosenkę: „Oj, czasy! Czasy teraz ciężkie — pszenica po niczemu, o wódkę nikt się nie pyta!“ (IV, 4.)

Na przedsiębiorstwa przemysłowe lub handlowe, związane z rolnictwem (browary, gorzelnie, wypas wołów i t. p.) mogły sobie pozwolić tylko majątki zasobniejsze. Stowarzyszenie się, choćby w ściśle zawodowej dziedzinie, było zabronione. Kredytu publicznego nie było; szlachcic, potrzebujący gotówki, padał, jak Orgon z *Dożywocia,* pastwą lichwiarzy. Stowarzyszenia rolnicze i kredytowe, tak świetnie rozwijające się w Królestwie

[1] Pamiętniki. Rkp. Ossolineum nr. 4793, str. 13.

http://rcin.org.pl

Polskiem dzięki umiejętnej polityce gospodarczej Lubeckiego, zdołano tutaj wykołatać dopiero w piątym dziesiątku XIX w. Ale i one w pierwszych latach istnienia wiodły (z powodu paraliżującego działania biurokracji) żywot, który trudno nazwać inaczej jak wegetacją. Niemasz lepszego probierza wartości „polskiej gospodarki“ jak porównanie polskiej polityki gospodarczej w Królestwie z ówczesnem austrjacko-niemieckiem tałatajstwem w Galicji.

Wobec zamknięcia lub utrudnienia dostępu do innych zawodów, rola była dla ówczesnego szlachcica jedynym warsztatem pracy i jedyną formą lokaty majątku. Sprowadzało to niesłychane, prawne i moralne obciążenie własności ziemskiej. Zazwyczaj dziedzic był tylko jej właścicielem nominalnym. Ciążyły na niej poza ustawowemi serwitutami rozmaite zobowiązania rodzinne: spłaty posagów i wian rodzeństwa, sumy lokowane, dożywocia bliższych i dalszych krewnych. Gdy dodać iście idylliczne poczucie obcej własności u naszych słowiańskich kmiotków, wyrafinowany wyzysk skarbowy i podatkowy rządu, szykany biurokracji, umyślne paraliżowanie przedsiębiorczości społeczeństwa i zamknięcie dostępu do urzędów publicznych, obraz doli szlachcica przedstawi się nam w barwach bynajmniej nieponętnych.

Jak fałszywe mamy wyobrażenie o stopie życiowej szlachty ówczesnej, tego dowodzą choćby te empirowe salony, które nie bez irytacji każą nam oglądać w teatrze jako sceniczną oprawę *Ślubów panieńskich*. Nie mieszkała szlachta ówczesna w pałacach. Niski dom parterowy, drewniany lub murowany, o typowo polskim „łamanym “dachu, z gankiem lub werandą, z facjatką zwyczajnie a z oficyną prawie zawsze, stanowił mieszkanie szlacheckie. W pokoju od ganku „kancelarja“ jegomości, a w pozostałych 3 lub 4 pokojach, w alkówkach, na facjatce, w dobudówkach, w tych pełnych uroku zakamarkach dawnych mieszkań, mieściła się reszta rodziny, ktoś z krewnych, ze stałych domowników lub rezydentów.

Urządzenie nie odznaczało się wytwornością ani zbytkiem. Stylowe urządzenie każdego pokoju należy do nowości z doby kolei żelaznych. Pokój bawialny bywał zawsze, ale posadzka parkietowa czy krzesła wyścielane należały do rzadkości i zarywały już na pańskość. Na obicia ścian pozwalały sobie domy zamożniejsze, najczęściej malowano tylko pokoje główniejsze, a resztę bielono. Na ścianie w bawialni znalazła się zawsze jakaś stara makata, często z dawnego pasa przykrojona, ale obok portretów bardzo prymitywnego pendzla było tam zawsze miejsce na jakiś obraz święty czy wizerunek M. Boskiej z nieodłączną różdżką palmową. Na uszakach okien doniczki z kwiatami, a na każdym sprzęcie i w każdym kąciku jakaś robótka lub drobiazg, będący dziełem kobiecych dłoni. Pokoje główniejsze posiadały piece kaflowe z nieodłącznym kominkiem, w innych za-

http://rcin.org.pl

dowalniano się kamyczkowemi. Lampa (olejna ma się rozumieć) znajdowała się zazwyczaj tylko jedna w całym dworze, w bawialni; w czasie przyjęcia oświetlano pokój świecami fabrycznemi, pozatem posługiwano się świecami z wosku pszczelnego i łojówkami domowej roboty.

Pod względem umysłowym nie stała szlachta wysoko. Ukończywszy kilka klas, bo często nawet niecałą ówczesną sześcio-klasową „szkołę łacińską“ (gimnazjum), wracał syn szlachecki do domu i przehasawszy rok, dwa na próżnowaniu, zabierał się do roli, nie mając najczęściej najmniejszego pojęcia o gospodarce. Do dalszego kształcenia się nie było ani podniety, ani zachęcających widoków.

„Każden (!) młody człowiek po chwalebnem ukończeniu gimnazjum, przedewszystkiem zapuszczał ogromne wąsy i bakenbardy, kupował bryczkę, sprzęgał cztery konie i pasował się na obywatela konkurującego. Więc Dąbrowa i Rzeszów w zachodnich a Mościska i Tarnopol we wschodnich obwodach, z ich dorocznemi jarmarkami końskiemi, przedstawiały dla Galicji Mekkę i Medynę, dokąd tak młodzież jak i starszyzna ze szlachty naszej z religijną czcią całemi taborami regularnie ciągnęła... I znowu rok cały siedział brat szlachcic i odbijał się na wsi, gospodarując skrzętnie, z małemi warjantami w życiu codziennem, które stanowiły imieniny w domu lub u sąsiada, odpust w parafji lub sprawy w *forum* [1] albo w obwodzie“. [2]

Córki początkowe wykształcenie odbierały w domu od matki, albo jakiejś krewnej, bo na starych pannach lub wdowach samotnych nie zbywało wtedy żadnej prawie rodzinie. Po ukończeniu edukacji domowej oddawano je na dwa lub trzy lata do klasztoru, gdzie kształcono je we wszystkiem potrosze (francuszczyzna, tańce, muzyka, malarstwo, robótki i t. p.) a najmniej w tem, co kobiecie istotnie potrzebne. Ważną rolę w programie nauczania zajmowały t. zw. talenta, a szczególnie taniec, w którym wymagano od panien wręcz baletniczych popisów z koszykiem kwiatów, bukietem lub girlandą. Nie jest to wcale poetycka przenośnia, ale obrazek z realnego życia, gdy Klara, zgorszona lekceważącem zachowaniem się Gustawa, zapytuje:

Mamyż mu śpiewać arjetkę wesołą
Albo z girlandą tańcować wokoło?
(*Śluby panieńskie* I, 8).

To opaczne i wykoszlawione kształcenie panien poddaje surowej krytyce jedna z rzadkich wówczas kobiet piszących i myślących, Antonina Krechowiecka. Zachęca do kształcenia praktycznego, wykazując bezużyteczność i próżną stratę czasu, marnowanego na języki i figury taneczne. „Panienka wychodzi z dzieciństwa, już nie chce tańczyć *kozaka* (!), wy-

[1] *Forum nobilium*, sąd szlachecki.
[2] Woj. Goczałkowski: *Wspomnienia* II, str. 108 i nast.

http://rcin.org.pl

mawiając się wzrostem; zostaje panną, ledwie ją uprosić można, by przed sąsiedztwem, zjechanem (!) na imieniny mamy, *koszykiem, bukietem lub girlandą* popisywała się"[1]. Mimo całą niedostateczność takiego wykształcenia, kobiety wśród szlachty posiadały na ogół żywsze zainteresowania kulturalne, niż mężczyźni. Dowód to zupełnej lichoty ówczesnej szkoły rządowej niemieckiej.

Pomimo zacieśnienia widnokręgu umysłowego i ospałości kulturalnej, będącej następstwem dziejowego upośledzenia, stanowiła szlachta wraz z tą nieznaczną przyległością społeczną, którą tworzyli byli wojskowi z czasów Księstwa czy Królestwa i rozrzucona garść inteligencji, jedyną, naprawdę świadomą swej polskości warstwę narodu. Nie błyszczy ona wykształceniem, bo oświatę zabito w tym zaborze już dawno, nie może imponować sprawnością i tężyzną życiowo-praktyczną, gdyż skrępowano jej dłonie do pracy ochotne, ale wśród niej jedynie tli wtedy żywy płomień narodowego uczucia, w jej skromnym domu rozbrzmiewa nieskażona polska mowa, żyje narodowa tradycja, przemieszkuje dawny polski zwyczaj i obyczaj.

„Macie szlachtę właściwą, dziedziców i niedziedziców, klasę głównie nękaną przez nieprzyjacielskie rządy, główny cel ich zamachów, jedyną przechowywaczkę świętego ognia przeszłego życia i narodowości polskiej, przedziesiątkowaną klęskami związków, zniechęconą do nich, zawichrzoną mniemaniami politycznemi niezliczonej barwy, w części demokratyczną, w części mającą się na baczności przed demokracją... Jedyny historyczny żywioł polskiej przeszłości, jedyną dźwignię polską w chwilach obecnych, pragnącą ojczyzny jak zbawienia, władającą pośrednio i bezpośrednio wszystkiemi środkami materjalnemi, umysłowemi i moralnemi narodu, jedyną, przez którą w dniach przygotowawczych można coś zrobić, długo jeszcze najposilniejszy żywioł demokracji, najzdolniejszą wszystko pojąć, przyjąć, poświęcić własny swój interes"... Któryż to z wielbicieli szlacheczyzny wystawił tak pochlebne świadectwo szlachcie galicyjskiej? Był nim demokrata jeden z najczerwieńszych — Seweryn Goszczyński, człowiek, który przez ośm lat zdeptał Galicję całą wszerz i wzdłuż, który nie siał utopijnych idealistycznych makówek, ale ujmował surowy rezultat własnych spostrzeżeń, by przedłożyć go demokracji emigracyjnej [2].

Po ostatniem wstrząśnieniu narodowych uczuć, które wywołały polskie orły ks. Józefa w r. 1809, dusza tej społeczności zapadła w letarg, który

---

[1] An[tonina] Kre[chowiecka]: *O edukacji kobiet* (*Pamiętnik lwowski* 1817, I, str. 317.)

[2] Memorjał Goszczyńskiego do Centralizacji Polskiego Towarzystwa Demokratycznego z r. 1838. Ogłoszony przez Z. Wasilewskiego: *Z życia poety romantycznego (Seweryn Goszczyński w Galicji)*. Lwów 1910, str. 111 i n.

http://rcin.org.pl

trwał aż do r. 1830. Dopiero odgłos strzałów z pod Grochowa wywołał przebudzenie. Po upadku powstania powraca nie tylko młodzież tutejsza z powstańczych bojów, ale wracają także ci, którzy w latach dawniejszych dzielnicę tę opuścili, zwabieni konstytucyjnemi swobodami Królestwa. Wkraczają tutaj dwa korpusy polskie, Dwernickiego i Ramorina, zatrzymuje się znaczna część emigracji. Przyjęto wychodźców z otwartemi rękoma, nie było dworu, w którymby rodak z poza kordonu nie znalazł schronienia.

W tem zetknięciu wzajemnem otworzyły się oczy i uszy, żywiej zaczęły bić serca dotąd zgnębione. „Cała szlachta, a mianowicie cała młódź szlachecka zetknęła się bezpośrednio z uczestnikami wypadków 1830 roku, zelektryzowaną przez nich została i nawet po ich wydaleniu z kraju, była z nimi w nierozerwalnych stosunkach uległości i jedności politycznej wiary“[1]. Tutaj znajdywali oparcie emisarjusze z emigracji, tutaj kursowała emigracyjna literatura i manifesty demokratyczne, ukrywane jak sakrament, dlatego że mówiły o Wielkiej Umęczonej. Wbrew własnemu klasowemu interesowi, wbrew rozsądkowi nieraz przyjmowała szlachta emigranckie nauki, wskazania a nierzadko strofowanie, kierując się jedynie myślą o sprawie wyzwolenia. Zrozumiałą więc staje się ta zaciekłość, z jaką zwracała się przeciw niej furja austrjackiej biurokracji, by w końcu rzucić na nią pijane chłopstwo w 1846 roku.

*

Duchowieństwo, zarówno łacińskie jak unickie, wyjąwszy nieliczne chlubne wyjątki, stało całkowicie poza narodem. Księża ówcześni pod względem umysłowym i moralnym nie odpowiadali zupełnie swemu szczytnemu powołaniu. Byli naogół narzędziem i powolnym służką rządu i biurokracji austrjackiej. Przy jakim takim wpływie duchowieństwa na masy, nie byłoby nigdy przyszło do haniebnych wydarzeń 46 roku. Nie mogło być inaczej w dzielnicy, której najwyższym dostojnikiem („prymasem Galicji“) aż do 1827 r. był najemnik rządowy, syn targowiczanina, hr. Ankwicz. Interesował się więcej damami z półświatka, niż swoim urzędem. Polaków i Polski, przez pamięć na haniebną śmierć ojca, nienawidził i niecierpiał. Po jego śmierci nastąpił sprowadzony z Czech arcybiskup Pistek, który nawet mówić po polsku nie umiał. Duchowieństwo unickie przysposabiano w większej części ze zwykłych djaków wiejskich. Do wyższych godności duchownych unickich przeznaczano wychowańców wiedeńskiego *Barbareum (nomen omen)*; że miłość „bratniego narodu“ nie wchodziła

[1] Michał Grabowski: *Wypadki galicyjskie 1830—1848.* Rkp. Ossolineum nr. 3.245, str. 6.

http://rcin.org.pl

w program tego wychowania, to poznaliśmy później wszyscy na własnej skórze. Głuche milczenie o duchowieństwie w komedji fredrowskiej trzeba przyjąć za dowód — taktu poety, bo że nie była to wyrozumiałość lub pobłażliwość, tego dowodzą wzmianki z utworów drobniejszych, pisanych w tym czasie, kiedy już niejedno (przynajmniej wśród kleru łacińskiego) zmieniło się na lepsze.

Mieszczaństwa w pojęciu europejskiem wtedy tutaj nie było. Miasta były przedewszystkiem siedliskiem biurokracji, niecierpianej i obcej. Obok niej przysiadła nieliczna, przybyła z nią grupka rozmaitych *verlägerów*, pocztmajstrów, kupców i rzemieślników z nad Wełtawy lub Dunaju („wiedeński połatajko“ Kalinki). Resztę „mieszczan“ tworzyła czarna, bezimienna masa żydowskich chałaciarzy. Żywioł rodzimy był reprezentowany bardzo słabo. Tu i ówdzie błąkający się jakiś inteligent Polak (lekarz, adwokat, czasem nauczyciel lub niższy urzędnik), tu i ówdzie jakiś, szczęśliwie dochowany, zabytek kupca lub rzemieślnika w przybliżonem do tego słowa znaczeniu. Żywioł mieszczański rodzimy, trzymający się swych zajęć bardziej z tradycji jak z racji życia, jedynie wegetował. Wyparty na szary koniec, zepchnięty ze swego dawnego stanowiska, spadł do znaczenia ludności drobnomieszczańskiej o charakterze zawodowo nie zdecydowanym: półrolniczym — półmieszczańskim. Jeszcze gorzej przedstawiały się miasteczka. Nędzne, obszarpane, w błocie tonące, zażydzone gniazda, takie jak do dziś jeszcze przechował nam zabór rosyjski, a Żeromski z rozpaczliwym odmalował wstrętem.

Jakiejś fizjognomji odrębnej, jakiegoś własnego, zdecydowanego charakteru ani też znaczenia kulturalnego miasta ówczesne, poza Lwowem nie posiadają... Przedstawiały zbyt różnorodny, rozbieżny i sztuczny zlepek rozmaitych środowisk i kultur, ażeby mogły zachować swoistą indywidualność życiowo-kulturalną. Dlatego też obraz miasta i mieszczaństwa występuje w komedji fredrowskiej dość blado.

Najsilniej jeszcze zarysowuje się tło małomiasteczkowe, ujmujące plastycznie cechy istotne takich małych, a zbyt dobrze znanych poecie miasteczek, jak Rudki, Komarno, Gródek Jagielloński, Mościska, Starasól, Chyrów i t. p. Obraz tych siedlisk ludzkich znajdziemy w *Odludkach i poecie,* a także w słabej, pod starość pisanej, powieści wierszowanej *Szewc i djabel*. Taki mieszczanin jak Marek Zięba, bohater w *Nikt mnie nie zna,* wyraża dość wiernie niezdecydowany charakter ówczesnej sfery mieszczańskiej. Jest niby kupcem, ale więcej go interesują „snopki zmoczone“, „folwark za Mogiłą“ i nieskończona „stajnia“, aniżeli towar lub obrót handlowy we własnym sklepie. Postać zamożnego kupca z *Listu,* Orgona, posiadającego letni dworek na przedmieściu, postać ostatecznie możliwą we Lwowie, przypisać należy prawdopodobnie niemieckiemu źródłu tej

http://rcin.org.pl

komedji. Świat mieszczański w *Gwałtu co się dzieje* jest zgodnie z alegoryczną tendencją sztuki iluzoryczny. Tło zdecydowanie miejskie, a w ówczesnem pojęciu wielkomiejskie, posiada *Dożywocie*, rozgrywające się, co się samo przez się rozumie, we Lwowie.

Słabe zainteresowanie się komedji fredrowskiej mieszczaństwem jest prostem następstwem ówczesnego stanu rzeczy, a nie wynikiem jakichś przekonań czy społecznych idjosynkrazyj poety. W *Sielance* kreśli Fredro z sympatją i z sąsiedzką życzliwością kłopoty lwowskiego mieszczanina, który chciał zakosztować rozkoszy wiejskich i nabył własność ziemską. A był to utwór, pisany już w starości, a więc wtedy, kiedy w swych zapatrywaniach na życie publiczne zaczął się poeta zasklepiać w obrębie pojęć swej sfery najbliższej.

Pozostałe dwie warstwy, chłopi i żydzi, mimo całą społeczną ważność swego losu i położenia, stały na tak niskim poziomie, że jako czynnik społeczno-kulturalny nie mogą być brane w rachubę. Były one jedynie wskaźnikiem straszliwego zacofania naszego życia, okazującego swe potworne oblicze jakby na urągowisko wszelkim *Przedświtom* i *Psalmom przyszłości*.

Chłopstwo, wyjąwszy indywidualne wyjątki lub niektóre żyzne okolice (galicyjskie Podole i Pokucie), żyło w warunkach opłakanych. Mieszkało w nędznych, jednoizbowych, przeważnie kurnych chałupach. Zimą taka izba, mieszcząca nierzadko obok rodziny gospodarza jeszcze bezdomnych komorników, zamieniała się dosłownie w stajnię, albowiem trzymano w niej posiadaną sztukę bydła lub nierogacizny. Odżywiał się lud marnie, w czasie lat głodowych wymierał tysiącami, ale zato przy taniości gorzałki — pił do sytości. Rząd bowiem, zabijając lub rabując dla siebie inne gałęzie przemysłu, pozostawił krajowi jedyną i najhaniebniejszą: gorzelnictwo. Akcentu bolesnej ironji nabiera przeto zdanie o ludzie, włożone w usta Smakosza, obmyślającego coraz to nowsze specjały dla swego podniebienia:

> I co to za lud głupi, głupi nie do wiary;
> Bo czyż można: je mało, a pije bez miary.
>
> (*Przyjaciele* IV, 11).

Żywioł, społecznie upośledzony a bytujący w tak opłakanych warunkach, nie mógł stanowić przedmiotu komedji, zbyt dojrzałej pod względem społecznym, by mogła czynić sobie igraszkę z ludzkiej nędzy, głupoty lub niedoli — niezawinionej.

EUGENJUSZ KUCHARSKI.

F. 7402
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
7402

http://rcin.org.pl